

PIŁOMYCZEK

ROK 29

TYGODNIK DLA MŁODSZYCH DZIECI

26. VIII. 1951

Nr 52



Żegnajcie góry...

Cena 45 gr



Wracamy

W tę stronę i w tamtą stronę
biegną stalowe szyny,
wracają dzieci w wagonach
do domu, do rodziny.

Harcerze zwinęli namioty,
swój turnus skończyli junacy,
wracają wszyscy z powrotem
do miasta, do szkolnej pracy...

Obozy, wycieczki, kolonie
wracają tłumnie z wakacji.
Ile to gwaru w wagonie,
ile radości na stacji.

Tu ojciec wyciąga ramiona,
tu córka się tuli do mamy.
Pora wakacji skończona.
Wracamy, wracamy, wracamy...

H. Morkowicz-Olczakowa



Rys. Zb. Piotrowski

Nie zapo- mnieli

I na koloniach zdarzają się zmartwienia: na przykład, gdy ktoś zachoruje, tak jak to się właśnie zdarzyło Felkowi.

Co prawda, sam sobie był winien. Wychowawca przecież tyle razy powtarzał, żeby w wodzie za długo nie siedzieć, a po wyjściu wycierać się do sucha i biegać dla rozgrzewki.

Felek, jak to Felek — że on wie lepiej. Kąpał się tak długo, aż mu ręby zaczęły z zimna szczebrać. I do tego — włożył ubranie na mokre kąpielówki.

— Nie będę ich niósł w ręku i szukał miejsca na rozwieszenie. Same wyschną.

Wyschły, owszem. Tylko już w nocy Felek miał gorączkę, a rano pani zaraz zauważyła, że Felek jest chory, i zabrała go do izolatki.

Będzie musiał poleżeć przynajmniej dwa dni. A pogoda taka piękna! A lekarstwo niesmaczne. I samemu nudno...

Felek zna dobrze rozkład zajęć na kolonii. Słyszy gong: to koniec śniadania. Dzieci rozbiegły się po sypialniach. Szykują się do wyjścia. Zabierają kąpielówki, koszycki, chlebaki — co kto ma. Dziś idą do lasu. Wrócą dopiero na obiad.

Trąbka. To sygnał wspólnego wy-
marszu. Jeszcze trochę tupotu po
korytarzu... Ucichło wszystko: po-
szli.

Do izolatki zagląda wychowaw-
czyni.

— No, jak się czujesz? Może ci
czego brak?

Felek nie mówi ani słowa, tylko
przecząco kiwa głową. Nie może
mówić. Coś go ściska za gardło: po-
szli... zostawili go... zapomnieli...

Pani kładzie mu rękę na czole.

— Gorączka spadła, to dobrze.
Spróbuj zasnąć. Posiedziałabym z to-
bą, ale muszę przygotować bieliznę
do zmiany. Jutro niedziela. Tyle ro-
boty, rozumiesz?

Felek rozumie. I do pani żalu nie
ma. Ale koledzy...

Cisza... Jakaś mucha wpadła w
pajęczynę i brzęczy monotonnie.
Felek usypia.

Budzi się po paru godzinach. Czuj-
je się dużo lepiej. Do izolatki musia-
ła zaglądać pani, bo na stoliku przy
łóżku stoi szklanka wody z sokiem.
Felek pije, spragniony, ale słodycz



zabija przypomnienie: koledzy o nim zapomnieli... Nawet Olek!... A taki niby przyjaciel!...

Słysząc jakieś oddalone głosy, śpiew coraz bliższy. Czyżby to już oni wracali? Zegara w izolatce nie ma. Czyżby Felek przespał aż do obiadu?

Za chwilę korytarz jest pełen odgłosu kroków, rozmów i wołań. Chłopiec słyszy ściszoną pod drzwiami izolatki rozmowę. Jakieś targi, prośby i głośniejszą odpowiedź pani:

— Już rano powiedziałam wam, że do chorego wchodzić nie wolno. Absolutnie!!!

Znowu szept i wreszcie otwierają się drzwi. W progu staje wychowawczyni, zastawiając wejście ręką, jak barierą. Za tą barierą — cały tłum. Najpierw półgłosem, a potem, kiedy rozradowany Felek siada na łóżku i dzieci widzą, że nie jest taki bardzo chory, coraz głośniejszy syją się okrzyki:

— Feluchna, co ci? Boli cię?

— Felek — woła Olek — przyniosłem ci łódkę z kory! Sam zrobiłem. Patrz, żagiel też jest.

— Felek, patrz, dwa kłosy na jednej łodydze. W życie znalazłem. Weź sobie.

— Szkoda, że cię nie było w lesie. Znaleźliśmy takie „jagodowe” miejsce!

— Felek, nie choruj! Smutno bez ciebie!...

A tu od dziewczynek bukiet — żeby ci było przyjemniej...

Pani z trudem wypycha całe towarzystwo za drzwi i zamyka je. Kwiaty w słoiku stawia przy łóżku. Pachną. Na kółdrze kładzie Felkowi łódeczkę i kłosy.

— Jagód dla ciebie też przynieśli. Dostaniesz po obiedzie z cukrem. Dobrzy koledzy, co?

Felek znowu nie może mówić, tylko kiwa głową. I, żeby pokryć wzruszenie, pije wodę z sokiem.

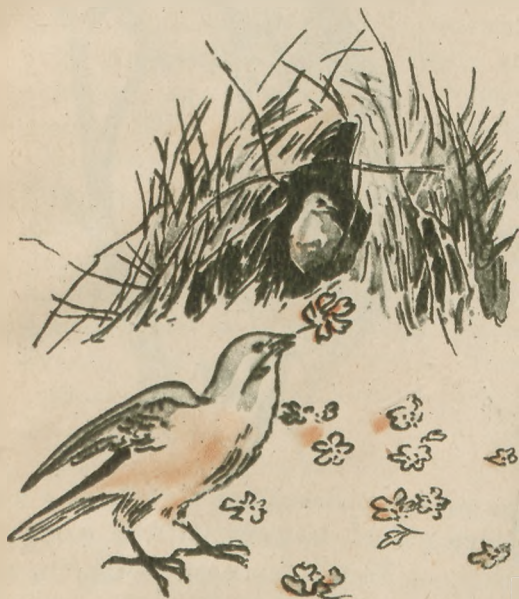
Jaka ta woda dobra, jak smakuje...

Rys. H. Przeździecka

H. Ożogowska



OSKRZYDLATYCH OGRODNIKACH, PODŃIEBNYCH KRAWCACH I TKACZACH



— Cóż to za dziwny tytuł? — powiedział Krzyś zaglądając mi przez ramię. — I co to za rzemieślnicy, ci wikłacze?

— Tacy sami jak ogrodnicy, tkacze i krawcy...

— To czemu nie umieściłaś tu szewca ani stolarza?

— Bo żaden ptak nie otrzymał takiego imienia.

— Więc to będzie o ptakach? Jakich?

— O ptakach z dalekich krajów, które wiją dziwne gniazda i od tych gniazd otrzymały swoje imiona. Ale nie przeszkadzaj. Zaczynam opowiadanie: Daleko, daleko, aż na drugiej półkuli, w lasach Australii i No-

wej Gwinei żyją ptaki, które zwa się ptakami altankowymi albo ogrodnikami. Są to ptaki wielkości mniej więcej naszych gołębi. Samczyk-ogrodnik na wiosnę buduje z gałązek wetkniętych w ziemię dość dużą altankę.

— Zamiast gniazda? — przerwał mi Krzyś.

— Nie. Altanka to jakby salon ogrodnika, w którym przyjmuje on swą przyszłą małżonkę. Toteż przed altanką układa on piękne, barwne kwiaty, a także skorupki ślimaków i kolorowe piórka.

— Coś jakby klomby...

— Zwiędnięte kwiaty usuwa, a na ich miejsce przynosi świeże. Najulubieńsze są kwiaty o barwie niebieskiej.

A teraz wyobraź sobie ogrodnika, który siedząc na gałązce tuż pod altanką wyśpiewuje donośnie, aby swym głosem zwabić znajdującą się gdzieś w pobliżu samiczkę. „Ogrodniczka” — jeśli można tak nazwać małżonkę ptaka-ogrodnika — zjawia się i staje przed altanką. Wtedy ogrodnik sfruwa z gałęzi, bierze do dzióbka świeżo zerwany kwiat i zaczyna swój taniec.

— Taniec z kwiatem! To śliczne!

— Roztańczony ptak krąży dookoła swej wybranej, wabiąc ją wdzięcznymi ruchami. Wreszcie samiczka przyłącza się do tańca i teraz skrzydlata para krąży dookoła siebie pomiędzy kwiatami ułożonymi na ziemi.

— Zupełnie jak w bajce...

— Wreszcie taniec kończy się. Oboje opuszczają altankę, aby odlecieć na wybrane drzewo, na którym zbudują razem gniazdko i w któ-

rym wychowają pisklęta. Tak się kończy historia o skrzydlatych ogrodnikach.

— A teraz opowiedz o krawcach...

— Dobrze. Przenieśmy się zatem do Azji, do Indii lub Chin Południowych. Mały ptaszek coś majstruje przy wielkim liściu jednego z drzew. Dziobkiem wybiją w brzegach liścia nieduże dziurki, jedna w równej odległości od drugiej. Kiedy liść jest zadziurkowany, ptaszek bierze do dziobka długie włókno roślinne i zeszywa nim oba brzegi liścia...

— Ach, to dlatego nazywa się krawcem...

— Poczekaj, to jeszcze nie koniec. Żeby dziurki nie przedarły się i szwy nie puściły, krawiec zapycha je pęczkami delikatnych włókien, które po obu stronach rozszczepia, żeby nie mogły wylecieć. Wygląda to jakby z każdej dziurki sterczał mięciutki pędzelek. Kiedy już gniazdo jest mocno zeszyte, krawiec znosi do niego piórka i puch bawełny i wyściela wewnątrz. Na tym miękkim posłaniu składa samiczka krawca trzy jajeczka...

— To musi być bardzo miło mieszkać w takim domku z liścia, na puchowym posłaniu...

— Nie tylko miło, ale i bezpiecznie. Najbystrzejsze oko nie wypatrzy w gęstym listowiu tego jednego zwinętego liścia, a i dostać się do gniazda wrogowi nie łatwo.

— A gdzie żyją wikłacze i co one robią?

— Wikłacze, czyli tkacze, żyją też w krajach południowych. Jest ich bardzo wiele gatunków. Budują gniazda rozmaitych kształtów, ale



zawsze zwieszające się gdzieś z końca gałęzi, najczęściej nad wodą.

— To tak jak nasz remiz. On także przygotowuje na końcu gałązki, najczęściej wierzbowej, najpierw siatkę z długich włókien, a potem przetyka ją puchem zebrany z najwcześniej dojrzewających nasion wierzbowych. Gniazdo remiza wygląda jak zawieszony na gałęzi pantofel, bo otwór wejściowy ma umieszczony z boku...

— Podobnie jest u wikłaczy. One jednak najczęściej umieszczają gniazda na końcach liści palmowych. Ale skoro mówimy już o palmach, to muszę ci powiedzieć, że żyjące w strefach gorących jerzyki budują sobie gniazda po prostu w załomkach blaszki liścia palmy.

— A wiatr ich nie strąci?

— Jerzyki mają na to radę. W okresie budowania gniazda wy-

dzielają one dużo lepkiej śliny, którą przylepiają do liści nie tylko swoje małe gniazdko, ale także i same jajeczka.

Ale wracajmy do naszych tkaczy czy wikłaczy. Niejeden podróżny afrykański spoglądając na rosnące nad brzegami rzek palmy, zastanawiał się na pewno, jak dziwnie zawieszono są ich owoce na samym końcu liści. Po bliższym zbadaniu okazywało się, że to niezliczone gniazda wikłaczy. W gorących krajach są także ptaki, które budują gniazda z dwoma wejściami. Jedno, bardziej dostępne, jest fałszywe i nie prowadzi do środka. Drugie, prawdziwe, jest mniej dostępne. Inne jeszcze budują mieszkania dwupokojowe...

— Hi! Co za luksus!

— To nie luksus, to także ochrona dzieci. Pierwsza komora jest pusta. Gdy wróg zajrzy do niej, zawiedziony wycofuje się. A tymczasem nieduży otwór pod sufitem prowadzi do właściwego mieszkania, do drugiej komory, w której ptak składa jajeczka i wychowuje pisklęta.

— Co za pomysłowość u takich ptaków!

— Czas już skończyć nasze opowiadanie, choć tyle można by jeszcze ciekawego opowiedzieć.

— To jeszcze coś na zakończenie — prosi Krzyś.

— Dobrze. Dla ochrony przed wrogami wiele ptaków podzwrotnikowych buduje gniazda w pobliżu gniazd os i szerszeni.

— Brr... Co za miłe sąsiedztwo — wzdryga się Krzyś, którego niedawno użądliła osa.

— Otóż to sąsiedztwo nie jest wcale takie niemiłe, jakby można przypuszczać. Nie umiemy sobie dotąd tego wytłumaczyć, dlaczego tak jest, ale osy nigdy nie atakują ptaków mieszkających w ich sąsiedztwie, chociaż bujające się na gałęziach gniazda często się wzajem potracają. Ale niech tylko zbliży się ktoś obcy! Osy rzucają się nań i tną bez litości.

— Jakie to dziwne...

— Nie tylko bardzo dziwne, ale również bardzo ciekawe.

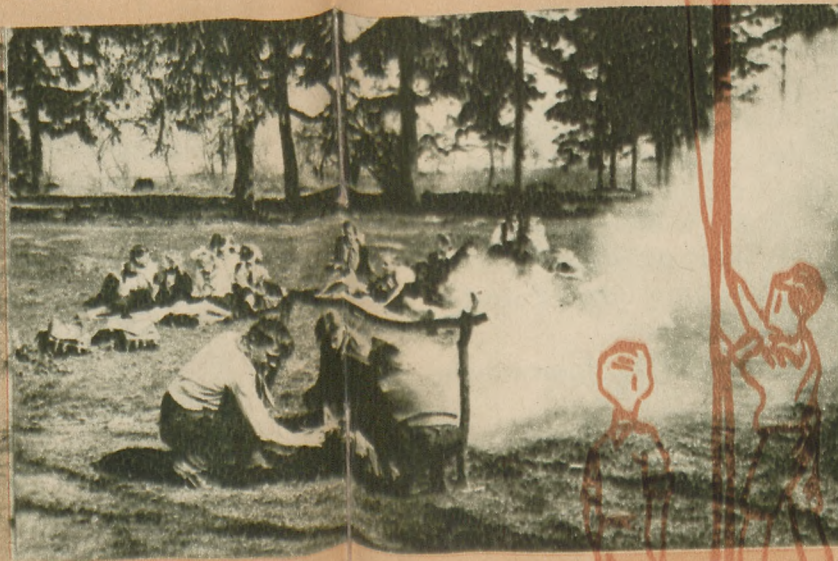
H. Zdzitowiecka



Rys. H. Przeździecka



NA KOLONIACH PRĘDKO MINAŁ CZAS



O DWUNASTU MIESIĄCACH

Dziewczyna kupkę węgielków czerwonych, żarzących nabrała, podziękowała i wraca. A wciąż się strasznie boi, że jej się dziura w zapasce wypali.

Weszła do sieni, a macocha woła:
— Masz talary? Siła ich masz?

Nie śmie sierota o tych węgielkach powiedzieć, boi się. Milczkiem do nalepy' podchodzi, a serce w niej mdleje ze strachu.

Wytrząsa z zapaski...

A tu brzęk, brzęk, brzęku... złote talary na nalepę lecą i dźwięczą, i błyszczą, aż w całej izbie pojaśniało.

Rzuciła się macocha z córką! Talary zgarniają, oglądają, liczą...

Ten i ten na przykupek gruntu. Te na krowę, na woły. Ten na prosiaki, gęsi, kury. Ten i ten na odzież, na buty... A za co korale i bursztyny? A za co jedwabne czepce? Za co pierzyny, poduchy, kilimki?

I na sierotę obie:

— Tyleś jeno przyniosła! A kaj masz więcej? Musi kajniebądź pod śniegiem utaiła dla siebie! Leć zaraz i wszystkie przynieś!

Zaodziała się sierota w swą starą chuścinę i poszła w las, i więcej nie wróciła. Do dwunastu Miesięcy na służbę przystała.

Czeka macocha do późnej nocy. Czeka cały ranek, cały dzień i znów cały wieczór.



Pasierbicy nie widać.

Tak-ci powiada do swej córki:

— Nie wiadomo, co się stało z pasierbicą, może w polu zamarzła na śmierć. Ta tera ty pójdiesz.

— Matko, chcecie, co bym i ja przepadła!

— Nie bądź głupia! Tamta, co na sobie miała? Letniczkową sukienkę i chuścinę. A ciebie zaodzieje w welniak, w kozuch, w buty pod kolana. Nie bój się, ani poczujesz zimna. A talarów przyniesiesz. Potrafiła tamta, potrafisz i ty.

— Przecie! Potrafię. Jeszcze więcej przyniosę.

Matka córkę ciepłuśko ubrała i jeszcze ją zababuliła w ogromną, welnianą chustę.

— Weźże na talary w jedną rękę torbę, w drugą garnek, a na plecy

jeszcze woreczek. No, nadźwigasz się, ale idź se powolutku, odpoczywaj! A tu naści kukielkę z masłem i z miodem.

Poszła córka.

A dzień był niezgorszy. Ściepliło się. Wiatr ustał, słońce mgławo świeciło, polatywał śnieżek drobniutki i suchy.

Przeszła córka pole, weszła w las. Ciepło jej, wesoło. Idzie, a rozgląda się dookoła, gdzie to te talary leżą.



O, coś się tam w lesie jarzy, migoce!... Pewnie to te bogactwa tak jaśnieją!

Biegnie dziewczyna, aż się o małe świerczki, śniegiem przysypane potyka i przewraca! Przybiegła! Patrzy, a to ognisko się żarzy, a dookoła ognia dwunastu braci siedzi.

Poznała, że to bracia Miesiące. Ale wielce była rozgniewana, że się tym ogniem oszukała. Myślała, że to talary świecą, a tu ot co!

— Dzień dobry, dziewczynko! A może nam powiesz, kto my jesteśmy? — zawołał wesoło Grudzień.

A córka ze złością:

— Ten tu Marzec — kłapie wargą jak starzec. A ten Maj — tylko mu kij żebraczy daj. A ten Luty — ma koślawe buty. Stary Grudzień — największy leń...

I tak długo jeszcze urażliwie Miesiącom przygadywała. Aż się bracia rozgniewali.

Podniósł się Grudzień, a na jego miejscu usiadł Luty.

I dopiero, jak się nie zacznie sroga zima!

Mróz ścisnął nagle taki, że aż drzewa zaczęły hukać. Podniósł się wichur, pochwycił tumany śniegu i rozhulał się zamiecią.

Myśli córka:

„Trza mi do domu uciekać“.

Ale drogi powrotnej wcale znaleźć nie może. To w tę stronę biegnie, to w tamtą. Ognisko z oczu straciła. A tu bór coraz gęściejszy, a tu mróz coraz okrutniejszy, a tu zaspas coraz większe. Brnie już po kolana, siły traci, senność ją ogarnia...

Aż i umarza na śmierć.

J. Porazińska

Rys. G. Majewski



SKOK

Podeszłam do gromadki chłopców skupionych dookoła Janka. Opowiadał najwidoczniej coś bardzo interesującego, bo chłopcy nie zauważyli nawet, że się do nich dołączyłam, a Janek rozprawiał dalej, machając rękami, podskakując zabawnie, to znów gotując się jakby do skoku.

— Odkąd zwyciężyłem go w biegu na setkę — opowiadał Janek — nie dawał mi spokoju. „Spróbujmy i spróbujmy!” powtarzał przy każdej okazji. Aż wreszcie zgodziłem się, chociaż nie znałem zupełnie terenu. Wyznaczyliśmy metę na kolonii. Na miejsce startu poszliśmy spacerkiem, dobrą, gładką drogą wijącą się wśród gór. Tak, stąd należało najkrótszą drogą w najkrótszym czasie dobiec do kolonii. Przygotowałem się do startu. O tak...

Janek wysunął jedną nogę w tył, podparł się lekko obiema rękami o ziemię, jakby miał przed sobą gładką bieżnię.

— Antek dał nam znak i pobiegliśmy.

Janek zerwał się do biegu, ale zaraz zatrzymał się i ciągnął dalej.

— Nie myślcie, że to łatwo biec po górzystej, zarośniętej świerkami trasie! Co chwila spotyka się jakieś przeszkody: zwalone pnie zagradza-

ją drogę, trzeba się wspinać w górę, to znów schodzić w dół po prawie prostopadłej ścianie. Józek wyrwał od razu z kopyta, a ja — wstyd się przyznać — potknąłem się na pierwszym napotkanym pieńku. Zerwałem się od razu, ale Józek już odbiegł spory kawał. Gnam jak mogę najszybciej. Przestrzeń między nami wcale się nie zmniejsza, Józek ginie mi co chwila sprzed oczu i, jak na dobitek, Wisła...

— Jak to Wisła? — przerwał Bolek.

— Zwyczajnie. Drogę przecięła mi Wisła!

— A mostu nie było? — pyta Jurek z Warszawy.

— Mostu? — śmieje się Janek — Coś ty?!

— No, więc jak? Opowiadaj...

— Zwyczajnie, przeskoczyłem Wisłę i biegną dalej...

Dalsze słowa Jankowego opowiadania zagłuszył wybuch śmiechu całej gromady chłopców. Śmiali się tak, że za boki się trzymali:

— Wisłę przeskoczył! Cha! Cha! Cha! Wisłę przeskoczył... największą naszą rzekę...

Długo jeszcze Janek nie mógł dojść do słowa. Wreszcie jednak cie-

kawość chłopców zwyciężyła. Przycichli jakoś, a jeden powiedział:

— No, bujaj dalej, co tam!

— Jesteście skończone nieuki — wybuchnął wtedy i, zanim chłopcy zdążyli oburzyć się na tę zniewagę, mówił dalej. — Co z tego, że Wisła jest większą rzeką, ale przecież w górach, tam gdzie wypływa ze źródła — jest małutka, tak, czy nie?

— Tak, tak! On ma rację — przyznał Jurek. — Toś ty pewnie był niedaleko Góry Baraniej, co?

— Pod samą Baranią! Tam właśnie Wisła jest taka maleńka, że dziecko może ją przeskoczyć, a ja mogłem ją przejść zwyczajnym krokiem, ale się śpieszyłem, więc dlatego przeskoczyłem, a wy zaraz... Eee! Nie będę opowiadał.

— Nie masz się za co obrażać — powiedział Stefan. — Spróbowałbyś przeskoczyć Wisłę u nas w Krakowie... Cha! Cha! Cha!

— Albo pod Modlinem, gdzie już tyle dopływów przybiera... Cha! Cha! Cha!

— Albo może w Warszawie... co?

— Jak skakać, to skakać! — dorzucił Franek. — To już najlepiej przyjedź do nas pod Gdańsk. Tam Wisła jest szeroka, rozlewna! To dopiero będzie skok rekordowy!

— Przyjadę! Cha! Cha! Cha! W przyszłym roku — zapewnił wesoło Janek.

— I my też! I my też! — zawtórowali chłopcy.

— No, ale powiedz nam nareszcie wynik tego waszego dziwnego biegu.

— Łatwo się domyślić, że Józek zwyciężył, a ja — mówił Janek — nauczyłem się biegania po trudnym terenie i...

— skakania przez Wisłę — dokończył Stefan.

Kr. Pokorska



Rys. Zb. Piotrowski

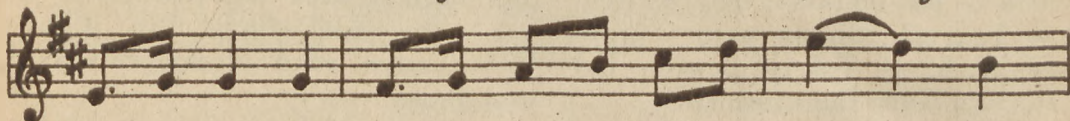
WITAJ SZKOŁO

Słowa: Czesław Janczarski

Muzyka: Zofia Romei



1. Za - tę - skni - li - śmy za to - bą, na - sza szko - ło,
2. Rze - ce śle - my po - że - gna - nie, fa - li, drzą - cej
3. Za - tę - skni - li - śmy za to - bą! i choć - by - ło



na - sza kla - so! Po - że - gna - nie dzi - siaj śle — my
w słońcu zło - tym. Świe - ży za - pas przy - no - si — my
nam we - so - ło; dzi - siaj chę - tnie po - ura - ca — my



pu - szym po - ło - m, ta - kom, la - som. w two - je mu - ry. Wi - taj, szko - ło.
śli - ły, wia - ry, i o - cho - ty...



Kochany „Płomyczku”!

Ja jestem na kolonii w Żegiestowie wraz z innymi koleżankami. I wszystkie jesteśmy zadowolone z tej kolonii oraz i z tego, że Polska Ludowa daje nam możliwość korzystać z różnych czasów i kolonii, aby nabierać dużo siły do dalszej nauki, żeby być mądrymi i dzielnymi obywatelami Polski Ludowej. Dlatego też my, wszystkie dzieci polskie, dziękujemy naszej kochanej Ojczyźnie za to, że ponosi dla nas tak wielki trud i tak wielkie starania.

Zofia Głąb — Szczurowa 94,
pow. Brzesko, woj. Kraków

Kochana Redakcjo „Płomyczka”!

Jestem uczennicą klasy V. Świadectwo otrzymałam bardzo dobre. W harcerstwie jestem ogniwową. Nasza drużyna harcerska napisała list na Złot do Berlina. Na Złot jedzie młodzież wszystkich krajów Demokracji Ludowej. Jadą również dzieci krajów kapitalistycznych. Chociaż rząd tych państw nie chce opłacić ich podróży — młodzież krajów socjalistycznych organizuje składki, dzięki którym dzieci państw kapitalistycznych będą mogły brać udział w Zlocie Młodych Bojowników o Pokój.

Pozdrawiam Cię, Redakcjo —

Alina Eisenberg — Warszawa

Kochany „Płomyczku”!

My, dzieci Szkoły nr 43 w Łodzi, zawiadamiamy Cię, kochany „Płomyczku”, że jesteśmy na kolonii w Siedlcu w powiecie łęczyckim. Wszystkich nas jest 96 dzieci, podzieleni jesteśmy na trzy grupy. Nasza grupa liczy 25 dziewczynek i jesteśmy najmłodsze, obrataliśmy sobie godło „Stokrotki”. Zajmujemy duży pałac, który kiedyś był własnością bogatego pana. Wokoło pałacu jest park i dwa stawy. W parku bawimy się i mamy pogadanki z naszą panią wychowawczynią. Kiedy pogoda jest piękna, ходимy do stawu kąpać się. Wtedy jest nam bardzo wesoło, pryskamy się wodą i dużo jest śmiechu.

Na kolonii jest nam bardzo dobrze, mamy dużo piłek, różne gry i książeczki do czytania. Byliśmy na wycieczce i zapraszałyśmy dzieci ze wsi na ognisko,

które odbyło się w sobotę. Codziennie bawimy się z dziećmi ze wsi, które przychodzą do nas na apele. Apele u nas są bardzo uroczyste, rano śpiewamy Hymn Młodzieży Demokratycznej, a wieczorem pieśń, którą ułożyli nasi wychowawcy z panią kierowniczką. Najgorsze jest to, że wyczytują niegrzeczne dzieci i dają nagany, ale również i punkty za porządki i zachowanie. Nasza grupa ma zawsze pierwsze miejsce, tylko wczoraj było u nas trochę głośno w czasie ciszy i zajęliśmy drugie miejsce. Kochany „Płomyczku”, my nie tylko bawimy się na kolonii, ale i pracujemy. Mamy już piękną gablotkę z kory wszystkich drzew, jakie tutaj rosną. Teraz robimy różne ozdoby ze słomy i pomagamy przy zbieraniu owoców.

„Stokrotki”

Grupa I Kolonii Letniej
Siedlec, pta Topola, pow. Łęczyca

ZAWIADAMIAMY, ŻE POCZĄWSZY OD 1 WRZEŚNIA 1951 r.

PRENUMERATA MIESIĘCZNA WYNOŚIĆ BĘDZIE ZŁ 1,90

„ KWARTALNIE „ „ „ 5,70

CENA POJEDYNCZEGO EGZEMPLARZA POZOSTAJE BEZ
ZMIANY.

WARUNKI PRENUMERATY

Prenumerata i kolportaż: Oddział P. P. K. „Ruch” w Poznaniu, ul. Grunwaldzka 19. Prenumerata wynosi miesięcznie zł 1,90, kwartalnie zł 5,70. — Wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze wiejscy w terminie do 20 każdego miesiąca na miesiąc (kwartał) następny. Konto P. K. O. V-6711 „Płomyczek”.

Wpłaty przekazane po 20 każdego miesiąca będą zaliczane nie od najbliższego pierwszego, a na następny miesiąc.

Egzemplarze z poprzednich miesięcy można zamawiać w P. P. K. „Ruch” opłacając z góry na zamieszczone powyżej konto z podaniem na przekazie tytułu czasopisma, ilości egzemplarzy i numerów.



ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, UL. SMULIKOWSKIEGO 4.

Redaktor: STANISŁAW ALEKSANDRZAK. Kierownik artystyczny: K. M. SOPOCKO.

Wydawca: Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia”.

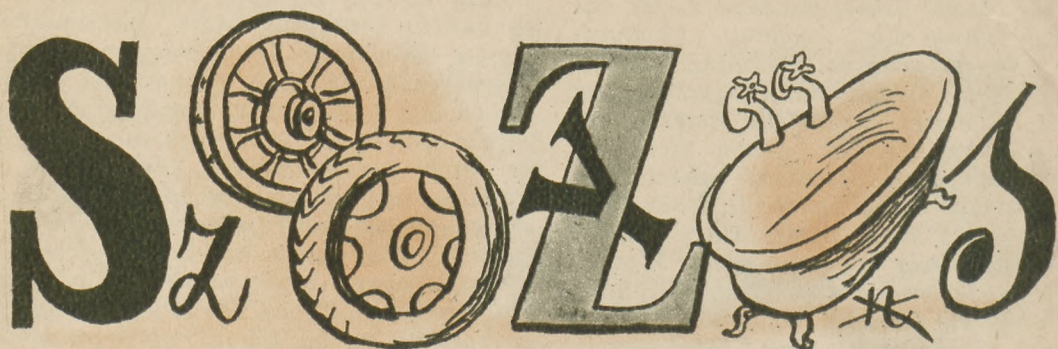
Nadesłanych rękopisów Redakcja nie zwraca.

Zakłady Graficzne im. Marcina Kasprzaka w Poznaniu — K-2-14266 — 2658/VII/51

B.D. XII inw. 870

P ??? CHWILĘ
OMYŚL ???

REBUS



ZAGADKA

Jest takie słowo,
co las w sobie chowa.
Pójdziecie wszyscy
wnet do tego słowa.

Rozwiązania z nr 51: rebus —
lotnictwo w służbie pokoju. Za-
gadki — szkoła, samolot.

W Chinach południowych głów-
ną rośliną uprawną jest ryż. U-
prawa tej rośliny wymaga wiele
pracy i wysiłku ludzkiego.

Oto właśnie rozległe pole ryżo-
we, gdzie rozpoczęto żniwa. Jak
sami widzicie, urodzaj jest do-
skonany.

ATO ciekawe

